

In
A
Jam

Skodkie kłopoty

KATE
CANTERBARY



KATE CANTERBARY

In A
Jam
Słodkie kłopoty

PRZEŁOŻYŁA
Karolina Kłosowska



TYTUŁ ORYGINAŁU:

In a Jam

Redaktorka prowadząca: Ewa Pustelnik

Wydawczyni: Maria Mazurowska

Redakcja: Ewa Kosiba

Korekta: Justyna Techmańska

Projekt okładki: Wojciech Bryda

DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2022 by Kate Canterbary

Copyright © 2024 for the Polish edition by Papierowe Serca
an imprint of Wydawnictwo Kobiecte Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Karolina Kłosowska, 2024

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2024

ISBN 978-83-8371-479-0

Grupa Wydawnictwo Kobiecte | www.WydawnictwoKobiecte.pl



ROZDZIAŁ 1

Shay

Uczniowie nauczą się walczyć z prawnikami,
ciężarówkami wożącymi bydło i piratami

– Musisz pokwitować odbiór listu.

Zmrużyłam oczy, patrząc na Jaime z kokonu, jaki uwiłam sobie na sofie. Byłam pijana i od trzech dni w tej samej piżamie. Dwa tygodnie po tym, jak narzeczony porzucił mnie przed ołtarzem, przez większość czasu byłam lekko wstawiona, ale przynajmniej nie płakałam już całymi dniami.

Mogło to oznaczać, że czułam się już lepiej albo stanowić oznakę odwodnienia.

– Czemu? – zapytałam.

Zebrała długie, jedwabiste włosy w koński ogon.

– Kochana, nie mam pojęcia. Chciałam podpisać za ciebie, ale gość się uparł, żeby mnie wylegitymować.

Minęła chwila, zanim zwlekłam się z sofy. Dojście do drzwi stanowiło nie lada wyczyn. Odkąd moja impreza ślubna przyjęła nieoczekiwany obrót, opuściłam przerobiony z hali magazynowej

loftowy apartament Jaime, który dzieliła z trzema innymi kobietami, zaledwie kilka razy.

Za pierwszym razem zebrałam na tyle siły, aby pójść do fryzjera i skrócić włosy o jakieś piętnaście centymetrów, choć zapuszczałam je przez prawie dwa lata, aby mieć idealną fryzurę na ślub, a następnie przefarbować je z naturalnego blond na truskawkowy.

Nie było jakiegoś szczególnego powodu do skrócenia włosów do ramion i zmiany koloru na róż. Nie umiałam tego wyjaśnić. Wiedziałam tylko, że nie mam już ochoty widzieć starej wersji siebie w lustrze.

Potem był tatuaż – zmiana o charakterze dużo trwalszym niż różowe włosy, ale coś takiego marzyło mi się od lat. Teraz potrzebowałam widocznego przypomnienia, że obecnie byłam kimś całkowicie innym niż osoba, która przeżyła taką katastrofę życiową.

Następnie sprzedawałam wszystko, co przypominało mi mój związek. Sukienki – wszystkie jak leci: ze zdjęć z zaręczyn, z imprezy zaręczynowej, z przyjęcia dla przyszłej panny młodej, z wieczoru panieńskiego. Stroje do włożenia po ślubie i kreacja na drugi dzień na brunch, stylizacje na miesiąc miodowy. Wspinałe buty w kolorze magenty i welon. Wszystko, co nosiłam, będąc z eks. Całą ślubną tandetę, jaką kiedykolwiek zakupiłam, w tym nawet coś około dwóch roczników magazynów ślubnych.

I tę cholerną suknię ślubną. Jak się okazało, nie rozdarła się specjalnie mocno, jedynie trochę wzdłuż szwu – nic, czego dobry krawiec nie potrafiłby naprawić. Ponieważ projektant, którego suknię kupiłam, nie sprzedawał niczego w rozmiarze szesnaście, jaki nosiłam, do kupna sukni zgromadziła się całkiem spora kolejka chętnych.

Niewiele co mi zostało. Ubrania wkładane do pracy w przedszkolu. Kilka par spodni do jogi w różnych odcieniach spranej czerni. Pudełko po butach z kolekcją kolczyków w zwariowanych kształtach, których mój eks nie tolerował, a ja uwielbiałam.

Zatem z nowym kolorem włosów i świeżą dziarą złopałam alkohol całymi dniami i bezmyślnie wgapiałam się w programy telewizyjne typu reality show, siedząc na kanapie mojej najlepszej przyjaciółki. Nie zmieniałam nawet piżamy, a mój eks świetnie się bawił na zaplanowanym i opłaconym przeze mnie wyjeździe na miesiąc miodowy, który był moim подарunkiem ślubnym dla niego.

A do tego diabli wiedzą, co miałam do podpisania przy drzwiach.

Powlekłam się na drugi koniec apartamentu z kocem na ramionach, który mocno przyciskałam do piersi. Jeden fałszywy ruch i ekspozycja całego biustu gotowa.

Jaime oparła się o ścianę, a ja wręczyłam doręczycielowi dowód i pokwitowałam odbiór pisma.

– Co to? – zapytałam.

– Nie moja sprawa – odrzekł. – Ja tylko dostarczam przesyłki, a pani mi tego nie ułatwiła.

– Zagadkowe, co? – zapytała Jaime, gdy listonosz oddalił się w stronę wyjścia.

Odwróciłam kopertę.

– Nieważne, co to jest, i tak mam to gdzieś – stwierdziłam, wlokąc się z powrotem w stronę kanapy. Rzuciłam list Jaime. – Powiedz mi, co jest w środku. – Utkwiłam wzrok w ekranie telewizora i naciągnęłam na siebie koc, siorbiąc haniebnego drinka, na który składało się czerwone wino, lód i dietetyczna cola. Zbrodnia przeciwko winu. Ale jaka pyszna!

Jaime rozdarła kopertę, a ja po raz kolejny doceniłam, że absolutnie mnie nie oceniała. Mało kto wytrzymałby aż taką dawkę dołowania się. Nie dyskutowałby nad wyborem tatuażu ani nie dopingował mnie, gdy pierwsze pukle moich włosów spadły na podłogę w salonie fryzjerskim. Jaime nie oceniała. Przyjmowała wszystko, jak leci, a to była tylko jedna z jej licznych zalet.

– Chodzi o twoją przybraną babkę – powiedziała, przeglądając strony pisma. – Tę, która zmarła.

Lód w szklance zagrzechotał. Babcia Lollie zmarła kilka miesięcy temu podczas snu w domu seniora na Florydzie, w którym, jak się upierała, spędziła wprost szalone lata jesieni życia. Miała dziewięćdziesiąt siedem lat, ale to jej bynajmniej nie przeszkadzało w szaleństwach na parkiecie w czasie wieczorków tanecznych w stylu salsy. Mieszkalam u niej przez jakiś czas w liceum, gdy moje życie trochę się skomplikowało, i kochałam ją ogromnie.

Tylko ją jedną zaliczałam do grona prawdziwej rodziny. Byłam absolutnie przekonana, że jej nieobecność na moim ślubie to najgorsza rzecz, jaka mogła mi się przytrafić.

Cóż, w taki oto fajny sposób udało mi się sprowokować przeznaczenie.

– Nic z tego nie rozumiem – wymamrotała Jaime, przekładając strony pisma. – Wygląda na to, że zostawiła ci... farmę. W Rhode Island.

Powędrowałam wzrokiem do koszy na pranie, worków na śmiecie i różnego rodzaju kartonowych pudełek zebranych pod ścianą. Ten przypadkowy bałagan dobitnie świadczył, że moje kochane, niesamowite, zwariowane przyjaciółki w dowolnej kombinacji odwiedziły luksusowy apartament mieszczący się w wieżowcu w bostońskiej dzielnicy Back Bay, który zamieszkiwałam z moim eks, i zgarnęły wszystko, jak leci, co ich zdaniem, należało do mnie.

Wszystko, począwszy od niemal pustej butelki po oliwie aż po szczotkę, którą pierwszy raz widziałam na oczy.

Były najlepszymi przyjaciółkami, jakie można sobie wymarzyć, i traktowałam je prawie jak rodzinę, której w Bostonie nie miałam. Dopytywały się, czy czegoś nie potrzebuję i czy dobrze się czuję. Prawda była taka, że nie czułam się dobrze. Wcale a wcale.

Ale tego im nie mówiłam.

Spojrzałam na Jaime.

– Co?

Potrząsnęła głową, wskazując na pierwszą stronę pisma.

– Musimy zadzwonić do adwokata twojej babci, bo nic z tego nie rozumiem. Podają tu jakieś daty i wymagania. To chyba jest ważne.

Przeszłam do kuchni, żeby znieważyc kolejną porcję wina lodem i colą.

– To się nie trzyma kupy. Pewnie jakaś pomyłka. Lollie nie zostawiłaby mi farmy. Należała do jej rodziny od wielu lat, a ona miała czworo wnuków z pierwszego małżeństwa mojego ojczyma. To im zapisałaby farmę. Albo mojemu ojczymowi. Albo w ogóle komuś innemu.

Jaime wskazała na dokumenty.

– Musimy zadzwonić do tego faceta.

– Nie mam telefonu, bo mi go zabrałaś. Już tego nie pamiętasz?

W którymś momencie odebrała mi komórkę, a potem razem z pozostałymi przyjaciółkami powstrzymywała mnie, gdy miałam ochotę nawrzeszczyć na mojego eks, że zwlekał do samego ślubu z zerwaniem, i wtedy, kiedy chciałam, żeby mi wyjaśnił, co się stało, dlaczego coś poszło nie tak, co ja zrobiłam nie tak, czemu doszedł do wniosku, że robi ze mnie idiotkę.

Ale jego wyjaśnienia nic by nie dały. Wiedziałam o tym. Choć czasem męczył mnie już ten stan upojenia alkoholowego, smutku i zobojetnienia i miałam ochotę zareagować z furią na to, jak bezmyślnie mnie skrzywdził. Chciałam, aby ta złość mnie wyczerpała, wydrenowała do tego stopnia, abym nie miała już siły na płacz czy nawet na odrętwienie.

Tę wściekłość odczuwałam najprawdziwiej i nawet wtedy było to coś więcej niż tylko rozczarowanie. Zaplanowałam ten ślub w najdrobniejszych szczegółach, ale nagle – bum! Wszystko trafił szlag. Wszystko znikło. Jakby nic, co ten ślub miał reprezentować – wszystko, co dla mnie oznaczał – nigdy nie istniało.

– Zadzwonimy z mojego – powiedziała Jaime, wyciągając telefon z tylnej kieszeni dżinsów.

Uniosłam kieliszek w geście toastu.

– Mówię ci, że to jakaś pomyłka. Nie zapisała mi farmy.

– A jeśli zapisała? – Przyjaciółka obrzuciła mnie zniecierpliwionym spojrzeniem, po czym wybrała numer z kartki. Wróciłam na sofę, jednym uchem słuchając, jak wyjaśnia komuś na drugim końcu linii, o co chodzi. Chwilę potem wręczyła mi telefon ze słowami: – Połączą nas z adwokatem.

Przełączyłam na głośnik, gdy usłyszałam sygnał i głos:

– Słucham, mówi Frank Silber.

– Hmm... tu Shay Zucconi – przedstawiłam się.

– Pani Zucconi! Staraliśmy się z panią skontaktować od miesiąca. – W jego głosie pobrzmiwał śmiech.

Odwrociłam kopertę. Nic dziwnego, widniał na niej mój poprzedni adres, czyli ten, pod którym mieszkałam, zanim przeprowadziłam się do eks.

– Tak, niedawno zmieniłam miejsce pobytu.

– Skoro już mam z panią kontakt – zaśmiał się jowialnie – wyjaśnię pani zasady dziedziczenia spadku.

– No właśnie, jeśli o to chodzi – powiedziałam, ignorując uniesione ze zdziwienia brwi Jaime. – To chyba rozmawia pan z niewłaściwą osobą. Może chodzi o syna Lollie albo o jej wnuki? Naprawdę nie wydaje mi się, żeby coś przypadło mi po niej w spadku.

– Pani babka wyraziła się bardzo jasno – odrzekł. – Mniej więcej trzy miesiące przed śmiercią omawialiśmy jej testament. Tego właśnie chciała.

– Okej, ale... – Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Dla Franka był to sygnał, że ma głos.

– W swoim testamencie pani babka wskazała panią, Shaylene Marie Zucconi, jako jedyną spadkobierczynię rezydencji, budynków gospodarczych i ziemi, czyli farmy bliźniąt Thomas, potocznie zwanej Twin Tulip, położonej pod adresem osiemdziesiąt jeden Old Windmill Hill Road w miejscowości Friendship w stanie Rhode Island.

– To jakieś szaleństwo – wykrztusiłam. – Nie... nie rozumiem, czemu zapisała farmę właśnie mnie?

– Nie mogę się wypowiadać za nią, ale pamiętam, że kilkakrotnie wspominała, że będzie pani wiedziała, co z nią zrobić – odpowiedział Frank.

Spojrzałam na szorty i górę od pizamy.

– Ależ ja nawet nie wiem, co mam zrobić ze sobą! Hektary ziemi to dla mnie za duża odpowiedzialność.

Zachichotał, jakbym nie była dostatecznie szczerą, i mówił dalej:

– Są dwa istotne warunki, które jestem zobowiązany pani objaśnić. Po pierwsze, musi pani przebywać na nieruchomości przez minimum pół roku, a po drugie...

– Ale ja pracuję w Bostonie – przerwałam mu. – Nie mogę dojeżdżać do pracy z Rhode Island.

– Jeśli nie jest pani skłonna lub nie może spełnić obydwu ustanowionych warunków, nieruchomość przejdzie w ręce miasta Friendship – odrzekł.

Czemu Lollie mi to zrobiła?

Napotkałam wzrok Jaime i wolno skinęłam jej głową.

Wyciągnęła do mnie rękę i wzruszyła ramionami.

– Zawsze możesz ją zwrócić rdzennym mieszkańcom tej ziemi, którym najprawdopodobniej została skradziona.

Frank mówił dalej o przejęciu nieruchomości przez miasto, a ja wyciszyłam rozmowę.

– Ona tak zrobiła jakieś czterdzieści lat temu. Oddała mnóstwo ziemi. – Urwałam, a Frank krzyczał coś do swojej asystentki. – Mocno wkurzyła tym swoją rodzinę, ale miała to gdzieś.

– Podoba mi się twoja babcia – stwierdziła Jaime.

– Drugi warunek – ciągnął Frank. – Był dla Lollie najważniejszy. Jej rodzina mieszkała i pracowała na tej farmie od początku osiemnastego wieku, więc zależało jej, żeby ziemia pozostała w rodzinie. Aby po upływie dwunastu miesięcy mogła się pani

stać pełnoprawną spadkobierczynią majątku, musi pani przedłożyć akt małżeństwa lub związku partnerskiego w ciągu tego okresu.

– Czyli... – zaczęłam, po czym zrobiłam przerwę na przełknięcie haniebnej sangrii. – Muszę się przeprowadzić do Rhode Island, zamieszkać na farmie oraz wyjść za mąż? I tylko ja mam takie prawo? Nie dzieci mojego ojczyma ani dosłownie nikt inny?

Usłyszałam, jak Frank przesuwa kartki.

– To był wybór Lollie. Ale może pani scedować prawo własności do nieruchomości na rzecz miasta, kładąc w ten sposób kres trzystuletniej tradycji związanej z tym, że farmę zamieszkiwała jedna rodzina. Jak rozumiem, nie każdą tradycję da się podtrzymywać w nieskończoność. Jestem pewien, że Lollie też to rozumiała.

– Nawet nie należę do jej prawdziwej rodziny. – Zabrzmiało to jak żałosna wymówka, i tak też czułam. Babcia Lollie była dla mnie moją najprawdziwszą babcią. Nigdy nie miałam bliskich relacji z mamą ani z ojczymem. Byłam dla nich co najwyżej logistycznym utrudnieniem. Z jego dziećmi widziałam się zaledwie kilka razy, ale były starsze ode mnie o dziesięć czy piętnaście lat i mieszkaly w różnych miejscach. – Nie byliśmy ze sobą spokrewnione. Ona była matką mojego ojczyma.

– Jak już wspominałem, Lollie była przekonana, że będzie pani wiedziała, co najbardziej przysłuży się farmie. – Frank wydał z siebie głośny nosowy rechot. – Jeśli dobrze rozumiem, pozostałe wnuki mojej klientki nie wyraziły zainteresowania nawet wizytą na ziemi należącej do rodziny.

– To znaczy, można to sprawdzić jeszcze raz. A nuż zmieniły zdanie?

Frank znowu się zaśmiał.

– Obawiam się, pani Zucconi, że tak to nie działa, jeśli chodzi o testament.

– Okej, skoro nie wychodzę za mąż i nie mogę się przenieść do Rhode Island, to chyba nie mogę przyjąć tego spadku – powiedziałam. Zabolały mnie te słowa. Nie byłam na farmie od lat, ostatni raz tuż przed przeprowadzką babci Lollie na Florydę, gdy wydzierżawiła gospodarstwo młodej parze, która miała nadzorować plantację tulipanów. Zawsze jednak gdzieś z tyłu głowy wydawało mi się, że to miejsce będzie na mnie czekać.

Aż do teraz.

– Proszę dzisiaj nie podejmować żadnych decyzji – powiedział Frank. – Farma należy do pani przez najbliższy rok. Proszę dać sobie czas. Nie ma potrzeby przekazywać gminie prawa własności wcześniej, niż będzie to konieczne. Niech pani poczeka rok. A ja zaraz poproszę moją asystentkę, żeby przesłała pani klucze i dokumenty kurierem.

Podalam Frankowi adres Jaime i skończyliśmy rozmowę. Mój wzrok spoczął na przepełnionych kartonach i koszach zgromadzonych pod ścianą. Mieściły cały mój dobytek. Już kiedyś obiecałam sobie, że koniec z życiem na walizkach, że moje życie będzie polegało na wiecznych przeprowadzkach. Że nie będę jedną nogą tu, a drugą tam, i że porzucę takie koczownicze życie.

Tymczasem miałam trzydzieści dwa lata i znów znalazłam się w sytuacji, w której nie wiedziałam, co będzie dalej.

Chyba że... chyba że jednak wiedziałam, jaki ma być ciąg dalszy?

Moje życie nie musiało się kręcić wokół nikogo. Z tym koniec. Mogę robić, co mi się żywnie podoba.

Jaime spojrzała na mnie.

– Jak się mamy?

Wzruszyłam ramionami.

– Okej.

– I to wszystko? A co z naszym ślubem? – spytała.

Potrząsnęłam głową.

– Tego bym ci nie zrobiła.

– A ja owszem, dla ciebie – powtórzyła.

– Nie bierzemy ślubu. Niech mnie piorun strzeli, jeśli przez dłużej niż ułamek sekundy będę rozważać małżeństwo z kimkolwiek, nie wspominając, że ty zapewne straciłabyś wiarygodność jako osoba biseksualna. Twoje poglądy na temat monogamii i związków obowiązujących wobec prawa są powszechnie znane.

– Mogłoby to być małżeństwo otwarte – zaproponowała.

Naprawdę nie mogłabym wymarzyć sobie nikogo lepszego niż Jaime.

– Jesteś dla mnie za dobra, a twoja propozycja zbyt uprzejma. Ale wszystko, co wiem na temat rolnictwa, ogranicza się do pojemności tego kieliszka. – Uniosłam drink. – Sama nie wiem. Ta cała sprawa to jakiś idiotyzm. Nie mogę... to znaczy, nigdy specjalnie nie przepadałam za tym miasteczkiem, ale na farmie było mi całkiem dobrze i nie... No sama nie wiem.

Przeliczyłam kartony. Nie było ich tak dużo. Gdybym się bardzo postarała, mogłabym zmieścić wszystko w aucie. Wyjechać. Nawet zaraz, gdybym tylko chciała. Nie musiałabym czekać na klucze. Wiem, gdzie Lollie trzymała zapasową parę.

Nie tylko mogłabym wyjechać, ale wręcz powinienam. Farma babci Lollie to jedyne miejsce, gdzie kiedykolwiek czułam się jak w domu, i niewiele czasu zostało, zanim je stracę. Musiałam tam pojechać, dopóki posiadłość była jeszcze moją własnością.

– Co tam sobie myślimy? – zapytała Jaime. – Znam to spojrzenie. Dokładnie tak samo wyglądałaś, gdy kilka lat temu wpadłaś na pomysł gruntownych zmian w rozdziale dotyczącym jabłek i dyń na dwa dni przed rozpoczęciem roku szkolnego. To jest spojrzenie pod tytułem „Mam szalony plan”.

Odwróciłam wzrok od kartonów i uśmiechnęłam się do przyjaciółki. Uczyla pierwszoklasistów po sąsiedzku z moimi przedszkolakami.

– Ależ żadnych szalonych planów – odpowiedziałam. – Za to mam dobre wieści.

– To znaczy?
– Opuszczam twoją kanapę na dobre.
– A dokąd to się wybierasz, kochana?
Opróżniłam kieliszek do końca.
– Jutro przeprowadzam się do Rhode Island.
Opadła na poduszki.
– Czyli to to, tak?
– Co?
– Początek fazy „jestem wredna”: „Mam to gdzieś, nic mnie to nie obchodzi, palę za sobą mosty i zaczynam od nowa, bo taką mam zachciankę”.

Przez chwilę zastanawiałam się nad tym, co powiedziała. To była prawda. Miałam wszystko gdzieś, o czym świadczyły sangria i siedzenie w piżamie przez cały dzień. Ale nie przejmowałam się tym. Musiałam tylko pozbyć się pozostałości po moim dotychczasowym życiu. I ta myśl była jak pierwszy haust świeżego powietrza od dawien dawna.

– Taak, może coś w tym jest.

– Chciałabym cię wspierać – powiedziała Jaime, gdy upychałam kolejny karton na tylnym siedzeniu samochodu. – Sprawdzić, czy nie pakujesz się w jakąś depresyjno-destrukcyjną sytuację.

– Mam depresję w uzasadnionym natężeniu – odparłam, siedząc w SUV-ie. Dwa dni po rozmowie z Frankiem zredukowałam swój dobytek do rzeczy absolutnie niezbędnych, wzięłam urlop w szkole i po raz pierwszy od zbyt długiego czasu poczułam, że naprawdę żyję. – Nie za małą, nie za dużą, zważywszy na okoliczności.

– A ciągoty destrukcyjne? Roczny urlop od nauczania i zostawienie mnie na pastwę nie wiadomo kogo za ścianą zdecydowanie noszą znamiona destrukcji.

Wychyliłam się z okna auta, aby spojrzeć jej w oczy.

– Przykro mi z tego powodu – powiedziałam. – Absolutnie nie miałam zamiaru cię wykiwać. Po prostu... – Zapatrzyłam się przez chwilę na ulicę.

– Musisz złapać oddech od tego wszystkiego – podpowiedziała. – Rozumiem. Ale co w ogóle wiemy na temat Friendship? Już sama nazwa jest podejrzana, a fakt, że jest to niewielka miejscowość, wcale nie czyni z niej dobrego miejsca do zamieszkania.

– To senne miasteczko nad Narragansett Bay. Zatoka wrzyna się w sam jego środek – wyjaśniłam, gestem ilustrując położenie geograficzne. – Po jednej stronie znajdują się stare rodzinne farmy, a po drugiej zalesione przedmieścia zabudowane domami i szkołami na przestrzeni ostatniego stulecia. I to by było na tyle.

– To odpowiedz mi na to pytanie – powiedziała, kładąc ręce na biodrach. – Czy są tam niedźwiedzie?

– Co? Ależ skąd, przynajmniej tak mi się wydaje. Nie, nie ma niedźwiedzi. Nic o tym nie słyszałam, gdy mieszkałam tam w czasie liceum. – Zagapiłam się na chodnik. Cholera. Teraz sama zaczęłam się zastanawiać nad kwestią niedźwiedzi.

– Co będziesz robić na farmie? – Jaime nie dawała za wygraną. – Znam cię sześć lat i ani razu przez ten okres nie wspomniałaś, że wiesz coś o tulipanach czy ich hodowli.

Zaśmiałam się.

– Bo nie wiem. Nie mam pojęcia, co zrobię z tulipanami ani z ziemią i w ogóle... Ale mogę pracować w lokalnym okręgu szkolnym i... Nie wiem. – Plusem mieszkania z moim eks w jego apartamencie przez ostatnie dwa lata było to, że udało mi się co nieco zaoszczędzić. Teraz mogłam sobie pozwolić na pewną rozrzutność. Pierścionek zaręczynowy, wciśnięty w przegródkę na monety w portfelu, stanowił pewne zabezpieczenie na wypadek, gdybym się nieco rozhulała z wydatkami. – Coś po drodze wymyśle.

Mój plan polegał na jego braku, ale nie mogłam pozwolić, by mnie to powstrzymało. Było to niedorzeczne, lecz całe moje

obecne życie tak wyglądało. Równie dobrze mogę przestać z tym walczyć.

Jaime wręczyła mi ostatni kosz na pranie, w którym spoczywały: trzy opakowania krakersów serowych Cheez-It, pościel, żeliwna brytfanna i splątane ładowarki.

– Oczekuję systematycznych meldunków co i jak, i nie mam na myśli kilku esemesów na odczepnego. Będiesz do mnie dzwonić na wideoczenie, jasne? I nie każ mi napuszczać na ciebie lokalnych policjantów, żeby sprawdzili, jak się miewasz.

– Dam znać – odrzekłam. – Przecież odzywamy się do siebie najrzadziej co kilka dni. Myślisz, że teraz będzie inaczej?

Machnęła rękami, wskazując auto.

– Zaczynasz robić mnóstwo rzeczy, których normalnie nie robiłaś. Podstawowe zasady mają być jasne. I nie zjedz całej paczki krakersów w drodze, bo cię brzuch rozboli i będziesz w złym humorze.

– Okej, proszę mamuśki – zakpiłam z niej.

– Ty sobie żartujesz, a ja mówię całkiem poważnie – odpowiedziała. – Wiesz, jak to z tobą jest, gdy zjesz za dużo Cheez-Itsów.

– Zadzwoń, jak dotrę na miejsce – obiecałam i wysłałam z auta, żeby ją uściskać. – Dziękuję za matkowanie mi.

– Nie ma za co – wymamrotała w moje ramię. – Wystarczy jeden telefon. Powiesz słowo i zaraz tam będę.

– Nie masz auta. I nie umiesz prowadzić – przypomniałam jej.

– Audrey poprowadzi, już moja w tym głowa – odpowiedziała. – Albo Grace. Nawet i lepiej. Nie zwraca uwagi na ograniczenia prędkości. Chodzi o to, że przeprowadzasz się dwie godziny jazdy stąd na południe, a ja się tam zjawię, ilekroć będziesz mnie potrzebować. Czy którejkolwiek z nas. Albo wszystkich razem.

Skinęłam głową.

– Wiem.

– Jak tylko się tam zaaklimatyzujesz, a ja zbiorę nas wszystkie razem, wpadniemy na weekend – dodała. – O ile do tego czasu

nie umrzesz z nudów, mieszkając na wsi, i nie wrócisz czym prędzej na moją kanapę.

Chciałam jej powiedzieć, że nie wrócę, ale nie byłam przekonana, czy to prawda. Równie dobrze po dotarciu na miejsce może mi się przypomnieć wszystko, co mnie wkurzało w tym miejscu, i wrócę czym prędzej.

Ale czekał mnie rok na rodzinnej farmie babci, zanim zostanie mi ona odebrana. Chciałam wycisnąć z tego okresu, ile tylko się da, nim ten nieoczekiwany prezent od Lollie ulegnie konfiskacie.

Nie znenawidziłam Friendship po przyjeździe, ale miałam spory problem z czterema ciężarówkami do przewozu bydła zaparkowanymi na podjeździe babci Lollie.

Naprawdę. Ciężarówkami, na których namalowane były krowy. Czarne z białymi łatami i długimi rzęsami tuż przy reflektorach. Niewielkie napisy na drzwiach od strony kierowcy głosiły: „Buttercup”, „Clarabelle”, „Rosieroo” i „Gingerlou”. Dojście do domu było zatarasowane, a stary budynek w stylu wiktoriańskim z szeroką werandą od frontu praktycznie niewidoczny. Dwie bliźniacze wieżyczki (większość innych elementów występowała tu parzyście) rysowały się na tle bezchmurnego nieba nad naczepami. Całość przywodziła na myśl cyrk i wybitnie działała mi na nerwy.

Thomas House, czyli dom Thomasów, był wymyślny w każdym aspekcie. Front, przypominający domek z piernika, pomalowano na różne odcienie zieleni, a obramowanie było w jaskrawym różowo-fioletowym kolorze. Kwietna łąka robiąca za ogródek kotłowała się pod wpływem lekkiej bryzy. Wiedziałam, że za żółtą jak słoneczniki stodołą znajduje się ogród wróżki z miniaturowymi dekoracjami. Jeśli pamięć mnie nie myliła, to do stodoły prowadziła wybrukowana ścieżka obsadzona rozmarynem i anyżkiem. Grube konary dwóch ogromnych brzoź zwieszały się nisko

i w letnie dni można było zaszyć się na nich z książką. Za nimi rósł krzew różany, który oplatał wykutą z żelaza ramę łóżka tworzącą niecodzienną rabatę. Całości dopełniały plantacje tulipanów o różnych kolorach. Wszystko tu było celowo odjechane.

Ale ciężarówki z krowami nie pasowały do tego cudaczego obrazka.

Opuściłam szybę, aby przyrzeć się lepiej najbliższemu pozjazdowi.

– Co to ma być, do cholery – wymamrotałam pod nosem.

Na boku nagryzmołono stylizowany na stary napis w jasnoniebiesko-szarym kolorze: „Little Star Farms”, a nad nim umieszczono cztery odręcznie narysowane gwiazdki.

Nie przypominałam sobie, aby w okolicy znajdowała się farma o takiej nazwie, ale nawet gdyby tak było, dlaczego ciężarówki zaparkowały właśnie tutaj? Pierwsza lepsza odpowiedź, jaka przyszła mi do głowy, była daleka od zrozumienia. Doszłam do wniosku, że właściciel owej farmy wykorzystywał podjazd Lollie jako złomowisko. Chwyciłam telefon do ręki i poszukałam farmy o takiej nazwie. Musiała mieć jakiś numer do kontaktu. Zadzwonię tam i powiem, żeby przepędzili swoje krowki na jakieś inne pastwisko.

Już miałam nacisnąć polecenie „zadzwoń”, gdy mój wzrok spoczął na adresie: Old Windmill Hill Road. Ależ to przecież farma mieszcząca się przy tej samej ulicy!

– Tym lepiej – stwierdziłam, cofając po żuźlowej drodze prowadzącej do ulicy. – Będę mogła od razu dobrać im się do skóry.

Nie kojarzyłam wszystkich gospodarstw i rodzin z okolicy, ale pamiętałam ówczesnych sąsiadów Lollie. Żaden z nich nie zajmował się hodowlą bydła mlecznego. Mieli sady, jabłka, jagody, tego typu rzeczy. Pomagałam Lollie na farmie, gdy na niej mieszkalam – przez większość czasu stałam przy kasie na końcu pól, z których kupujący sami zbierali plony w kwietniu i maju, ale nie miałam dostatecznej wiedzy na temat rolnictwa, by mieć

pewność, że można zamienić sad na... krainę mlekiem płynącą. W zasadzie nie wydawało mi się to możliwe, ale kto wie?

Na ulicy przyspieszyłam, kierując się w stronę działki oznaczonej jako Little Star Farms. Byłam mocno zdeterminowana, by naprawić to zło.

Gdy dotarłam do wzgórza przy Old Windmill Hill Road, gdzie stał liczący sobie cztery stulecia wiatrak, od którego droga wzięła swoją nazwę, skręciłam w uliczkę oznaczoną dużym szyldem „Little Star Farms”, pod którym znajdowały się kolejne tabliczki: „Świeży chleb”, „Jagody z lokalnej uprawy”, „Domowe dżemy”, „Miód leśny”.

Dookoła kręciło się pełno robotników. Po obu stronach żużlowej alejki parkowały ciężarówki, obok znajdowały się szklarnie, a w oddali spore budynki gospodarcze, których ogromne drzwi były szeroko pootwierane. Stary dom stał dokładnie w tym miejscu, które zapamiętałam, tyle że teraz wyglądał inaczej: został rozbudowany od frontu o wystawę sklepową.

Zatrzymałam samochód częściowo na żużlu, a częściowo na mocno wydeptanym trawniku przed szklarniami. Inaczej się nie dało, bo wszystkie miejsca do parkowania były zajęte. Poziom mojej frustracji jeszcze się podniósł, gdy spostrzegłam kolejkę do sklepiku. Konieczność zaopatrywania lokalnej społeczności w mleko i dżem nie była na tyle paląca, by uzasadnić pozostawianie krowich pojazdów wszędzie, gdzie dusza zapagnie. I skąd, u diabła, wzięli się ci wszyscy ludzie?

Zamiast grzecznie czekać w kolejce na rozmowę z obsługą sklepu, skierowałam się w stronę szklarni. Minęłam budynek, w którym znajdowały się maszyny rolnicze i pojazdy dostosowane do wszelkich warunków jazdy w terenie, a potem kolejny, mieszczący bele siana. Próbowалам ściągnąć na siebie uwagę pracowników, ale byli zajęci ładowaniem dostaw wózkami widłowymi, noszeniem fragmentów ogrodzenia i wydawaniem sobie wzajemnie poleceń gniewnymi głosami.

Moja wcześniejsza determinacja przerodziła się w złość, a to uczucie było dziwne. Osobliwe. Im dłużej tam stałam, piekąc się w późnopołudniowym słońcu i jednym uchem słuchając nawołujących się robotników, tym wyraźniej zdawałam sobie sprawę, że nie byłam całkowicie zobojętniała. W chwili, gdy wymyśliłam ten polegający na braku planu plan związany z przyjazdem tutaj, poczułam, że odżywam, choć przypominało to wychodzenie ze śpiączki wywołanej poczuciem wstydu.

Uświadomienie sobie tego faktu spowodowało, że nie zauważyłam, iż alejką zbliża się jakiś mężczyzna, a za nim drepcze mała dziewczynka. Wskutek rozkojarzenia mojej uwadze umknęło, że mała miała na twarzy piracką opaskę i z upodobaniem wymachiwała plastikową szabelką.

Dopiero okrzyk: „Ahoj! Ziemia na horyzoncie” wyrwał mnie z rozmyślań i dostrzegłam małą piratkę oraz słusznej postury brodatego mężczyznę, który ściskał ją za drobną rączkę. Na ramieniu miał przewieszony różowy plecaczek, a w drugiej ręce trzymał torbę na drugie śniadanie. Nie widziałam jego wzroku, który skrywały okulary przeciwsłoneczne i daszek czapki z napisem „Little Star Farms”. Wyglądał, jakby miał mnie minąć i zignorować jak wszyscy inni.

– Jo ho, ho! – wykrzyknęła dziewczynka, zsuwając z oka opaskę, która najwyraźniej pełniła funkcję dekoracyjną, a nie funkcjonalną.

Wyglądało na to, że mężczyzna dostrzegł mnie dopiero wtedy, gdy mała skierowała szabelkę w moją stronę. Nagle upuścił torbę na lunch, wzbijając tumany kurzu, i wymamrotał coś pod nosem, a potem spytał:

– Co pani tu robi?

– Przyjechałam – odparłam, przypominając sobie, że jestem wkurzona. – Ponieważ ciężarówki z tej farmy tarasują podjazd na mojej farmie i staram się znaleźć kogoś, kto może je przeparkować. Najszybciej, jak to możliwe.

– Tam dmucha*! – wykrzyknęła dziewczynka.

Posłałam jej zachęcający uśmiech i skinęłam głową, bo dzieci lubią być zauważane, a ona wkładała mnóstwo energii w odgrywanie pirata. Następnie przeniosłam uwagę na towarzyszącego jej mężczyznę.

– Wie pan może, kto tym wszystkim zarządza?

– Czy wiem, kto tym wszystkim zarządza? – powtórzył powoli, jakby sam odgrywał jakąś scenkę. – Taaak, sądzę, że tak.

Rozłożyłam ręce.

– Może mi pan powiedzieć, gdzie znajdę tę osobę?

Skinął lekko głową i schylił się, aby podnieść torbę. Wręczył ją dziewczynce, a potem skrzyżował ramiona na klatce piersiowej.

– Ma ją pani przed sobą. We własnej osobie.

* Tradycyjny okrzyk wydawany przez wielorybników po dostrzeżeniu wieloryba wydmuchującego powietrze z płuc. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

SIĘGNIJ PO WIĘCEJ



**Papierowe
Serca**

-  Wydawnictwo Papierowe Serca
-  wydawnictwopapieroweserca
-  papieroweserca
-  papierowe_serca